GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1932
NR. 24 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 24
15 — XII
1932 R.

DWA TYGODNIE

CESARSKIE CIĘCIE.

W chwili, gdy słowa te piszemy, przechodzi przez tryby naszej machiny parlamentarnej akt, zatytułowany skromnie: „ustawa o obniżeniu oprocentowania i przedłużeniu okresu umorzenia wierzytelności długoterminowych, zabezpieczających listy zastawne i obligacje, oraz wydanych na podstawie tych wierzytelności listów zastawnych i obligacyj". Projekt tej ustawy, opracowany przez Rząd, został podany do wiadomości publicznej przeszło tydzień temu i — jak można sądzić z perspektywy tego odcinka czasu, — przeszedł naogół bez większego wrażenia. Nawet prasa gospodarcza poświęciła mu względnie mało miejsca. Nie można się temu zbytnio dziwić; jest to poprostu jeszcze jeden dowód słabej orjentacji szerszych warstw naszej inteligencji w zasadniczych sprawach gospodarczych.

Pragniemy przedewszystkiem podkreślić, że ta ustawa jest aktem o niezwykłej, historycznej doniosłości. Znaczenie jej wybiega daleko poza wąskie ramy zagadnień kredytowych, czy konjunkturalno - gospodarczych. W naszych warunkach odgrywa ona prawie taką rolę, co sławna „seisachteia" Solona. Jako akt ustawodawczy, będzie dla prawnika aktem niemal rewolucyjnym, bo przekreślającym zaciągnięte zobowiązania prywatno - prawne i to zobowiązania nie państwa, lecz osób prywatnych wobec instytucyj prywatnych. W Rumunji np. wydana niedawno ustawa o podobnej treści została przez Sąd Najwyższy uznana za sprzeczną z zasadami Konstytucji, wobec czego rząd rumuński ma kłopot nielada, jakby ją mimoto wprowadzić w życie. Socjolog będzie w tem widział klasyczny przejaw „rozkazodawstwa gospodarczego", jako nowej formy walki z trudnościami gospodarczemi. Nas jednak obchodzi w tej chwili wyłącznie punkt widzenia gospodarczy.

Otóż z punktu widzenia gospodarczego ustawa ta stanowi niewątpliwie olbrzymi krok naprzód na drodze do rozwikłania bieżących trudności, które właśnie w poprzednim numerze „Gospodarki" przedstawił dr. St. Buczkowski, pisząc o wierzycielach i dłużnikach. Jej dodatnią stroną jest duża prostota środków, dzięki czemu uzyskuje się ich natychmiastowe działanie. Ustawodawca zmierza przedewszystkiem do radykalnego odciążenia dłużnika i daje mu rzeczywiście maksimum ulg, jakie można dać; nietylko oprocentowanie długu ulega redukcji do 4½ wzgl. 5 proc., lecz ponadto zostaje wydłużony termin amortyzacji długu, przyczem sama amortyzacja może być zawieszona na 3-letni okres. Odciążając dłużnika, ustawodawca ułatwia tem samem sytuację instytucyj kredytu długoterminowego, które przy narastających, jak lawina, zaległościach ratalnych, z trudem mogły wypełniać zobowiązania wobec posiadaczy listów zastawnych. Ulgi dla dłużników są przeprowadzane kosztem posiadaczy listów zastawnych i kosztem Skarbu Państwa. Przy tej operacji, zasługującej na nazwę „cesarskiego cięcia "ustawodawca kierował się pozatem jedną myślą: salwować kredyt Państwa, za wszelką cenę dotrzymać zobowiązań, przyjętych przez Państwo.

Jest to pierwsza zasadnicza różnica w porównaniu z pierwowzorem naszej ustawy, z zeszłorocznym dekretem Prezydenta Rzeszy, który dokonał powszechnej redukcji oprocentowania, nie bacząc na charakter zobowiązań. Druga różnica polega, by tak powiedzieć — na głębokości cięcia; nasza ustawa stanowi cięcie węższe, lecz głębsze, bo dekret niemiecki nie przewidywał ani tak wysokiej redukcji oprocento-

wania, ani też przedłużenia i ewnt. zawieszenia amortyzacji.
Dobroczynny charakter skutków tej operacji, jako skutków doraźnych, jest oczywisty. Ciężar pożyczek długoterminowych w kwocie 1.736 miljonów zł. przestanie być zmorą duszącą warsztaty rolne, samorządy i własność miejską. Wielu ludzi uratuje dzięki temu swoje warsztaty, ustanie lawina licytacyj, budżety staną się bardziej realne. Natomiast nie tak optymistycznie przedstawia się strona rynku kapitałowego. Uszczuplenie praw posiadaczy obligacyj będzie działać na bardzo długą metę, bodaj tak długą, jak kredyt długoterminowy. Gdy Niemcy przeprowadzali redukcję oprocentowania, giełdy ich były nieczynne, może nawet umyślnie nieczynne. U nas giełdy zareagowały natychmiast dzięki czemu nieuzasadniona rozpiętość między różnemi kategorjami papierów jeszcze bardziej wzrosła. Rynek nasz przybiera obraz, będący odwróceniem tego, co się widzi na giełdach światowych; tam papiery państwowe mają oprocentowanie znacznie niższe od rentowności obligacyj prywatnych, uważa się je bowiem za papiery pewniejsze. U nas będzie odwrotnie, mimo, że właśnie teraz tak drastycznie zostało udowodnione, iż nasze papiery państwowe są pewniejsze... Praca nad uzdrowieniem naszego rynku papierów procentowych będzie wymagać długich i żmudnych wysiłków.
Nad projektem ustawy pracowało grono rzeczoznawców, należy więc przypuszczać, że rozpatrzyli wszystkie pro- i contra. Skoro obrali tę właśnie drogę, a nie inną, widocznie taka była w tej chwili konieczna. Nie wątpimy jednak, by się ktoś łudził, że ta ustawa rozwiązuje u nas całkowicie problem zadłużenia. Poza pożyczkami instytucyj kredytu długoterminowego istnieje masa innych długów, które również trzeba będzie skonwertować, lepiej prędzej niż później, na tej lub na innej drodze.

ALEKSANDER K. IVANKA

I L U Z J E

Dla rozmożenia dobrobytu narodowego niezbędna jest m. in. likwidacja szeregu illuzyj, któremi karmi się społeczeństwo, pozbawione zdrowych myśli gospodarczych.

Powszechne jest mniemanie, iż o realności programu gospodarczego przesądza trafność sformułowania. Wręcz fałszywe mniemanie. Możność realizacji pewnego programu gospodarczego to nie tylko kwestja trafności jego sformułowań, to jeszcze zagadnienie ustosunkowania się doń społeczeństwa. Nie będzie mógł być zrealizowany najtrafniejszy nawet program, o ile nastawienie emocjonalne społeczeństwa do owych sformułowań programowych będzie niechętne. Odwrotnie, błędne lub powierzchowne koncepcje lecz odpowiadające zasadniczo poglądom społeczeństwa, znajdą posłuch, nabiorą poprzez społeczeństwo sił żywotnych i staną się realnym programem gospodarczym.
Program gospodarczy to dwa zespoły elementów: rzeczywistość gospodarcza i ocena normatywna tej rzeczywistości. Można rzeczywistość tę różnie oceniać, mogą być różne sformułowania programów gospodarczych. Lecz na to, by pewien program mógł być realizowany w społeczeństwie, musi on być zgodnym z zasadniczemi założeniami i nastawieniem emocjonalnem społeczeństwa. Tak jak ton, choćby najczystszy, jeśli nie wywoła oddźwięku kamertonów, przebrzmi nikło, tak i koncepcja, która pozostanie jedynie indywidualną, nie wywoła silniejszych oddźwięków w społeczeństwie i przebrzmi szybko, stając się może, kiedyś, przedmiotem jakichś badań w dziedzinie historji gospodarczej kraju.
Mam wrażenie, że w dziedzinie, że tak powiem, metodyki tworzenia programu gospodarczego w Polsce, na powyższe zagadnienie współzależności pomiędzy koncepcją tworzącego program, a nastawieniem społeczeństwa wręcz niedostatecznie zwracano uwagę. Kto wie, czy nie w tej płaszczyźnie szukać należy wyjaśnienia, dlaczego pewne słuszne koncepcje pozostały dotąd sformułowaniami papierowemi, a poniektóre powierzchowne lub błędne poglądy miały swój okres, kiedy żyły życiem realnem.
Ale przejdźmy do analizy samego tematu. Omówić tu pragnę nie całość poglądów wszystkich warstw społecznych i wykazywać istniejące różnice, lecz chciałbym podkreślić poglądy najbardziej wszystkim wspólne, niejako poglądy - dominanty, dziedziczone z pokolenia na pokolenie. One to przedewszystkiem zakreślają ramy realizmu każdego programu gospodarczego.
Wsłuchując się w poglądy gospodarcze społeczeństwa polskiego dochodzi się do smutnego wniosku, iż żyje ono szeregiem illuzyj. Wedle tych illuzyj układa sobie życie, poprzez te illuzje patrzy na rzeczywistość, opierając się na nich snuje marzenia na przyszłość, na podstawie illuzyj sądzi fakty i ludzi.
Zasadniczą illuzją gospodarczą w Polsce jest mniemanie, iż Polska jest krajem bogatym. To jest ów pogląd - dominanta, sięgający swem dziedzictwem bodaj czy nie w okres renensansu polskiego. Od tego czasu tyle się zmieniło: wielkie szlaki handlowe gęstość zaludnienia, formy wytwórczości, niezmienionym pozostał pogląd co do bogactwa Polski, stając się illuzją, szukającą coraz to nowych pryzmatów dla rozszczepiania szarego światła rzeczywistości na widmo tęczowe.
Illuzje te jako wielkie „prawdy" powtarza się często w społeczeństwie, więcej — uczy się o tem w szkołach. Pozwolę sobie przytoczyć parę cytat z popularnych podręczników szkolnych, jako ilustrację powyższego. A więc:
J. S. Cezak „Geografja gospodarcza dla szkół rzemieślniczo - przemysłowych i dokształcających":
„We wnętrzu ziemi polskiej znajdują się wielkie bo-

gactwa kopalne, które przy umiejętnej eksploatacji powinny doprowadzić kraj do wysokiego stanu zamożności" (s. 7) „oprócz rozległego terytorjum posiadamy wielkie bogactwa kopalne" (s. 10).
St. Łaganowski — „Geografja gospodarcza". „Po rozpatrzeniu warunków rozwoju przemysłu w Polsce dochodzimy do wniosku, że przemysł ten u nas ma dla siebie warunki przyrodzone naogół bardzo pomyślne: możność uprawiania roślin fabrycznych i wogóle bardzo dobre warunki przyrodzone dla rolnictwa, wielka obfitość węgla, tak, iż znaczna część tego produktu przeznacza się na wywóz, obecność w kraju rud żelaznych, dostateczna gęstość zaludnienia, dogodne położenie kraju zapewniają rynki zbytu zewnętrzne, bardzo pomyślne warunki przyrodzone dla rozwoju komunikacji lądowej" (s. 58).
L. Kuczewski „Krajoznawstwo gospodarcze Polski": „Ziemia polska kryje w sobie olbrzymie skarby, które są podstawą naszego bogactwa narodowego. Posiadamy w Europie najbogatsze zasoby węgla i cynku, soli mniej tylko od Niemców, nafty zaś tylko od Rosjan" (s. 34).

Dziwnie brzmią te cytaty w zestawieniu z pracą S. Rychlińskiego „Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim", będącego syntezą prac komisji Ankietowej. „Naogół kraj nasz nie posiada surowców ani szczególnie cennych, ani pierwszorzędnej jakości" (s. 21). O rudzie żelaznej: „złoża jej są dość rozległe, ale mała grubość pokładów odstręcza od udoskonaleń technicznych" (s. 17). O nafcie: „z liczb tych widać w jak niedogodnych warunkach pracuje polskie wiertnictwo naftowe" (s. 18). I t. d., i t. d.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż illuzja bogactwa Polski musi wybitnie ciążyć nad polityką i programem gospodarczym Polski. W latach 1924 — 1925 rozpoczęta została akcja budowlana, przyczem ideą przewodnią była budowa małych domków „tak jak w Anglji". Niechnoby się kto wtedy przeciwstawił tej akcji, twierdząc, że nie stać nas na to. Ani mowy. Właśnie mieliśmy upodabniać się do Anglji: a czy stać nas było na to? Przecież Polska jest krajem bogatym. Oczywiście akcja musiała się w końcu załamać. A budownictwo szkół. Ileż można oglądać po miasteczkach okazałych gmachów (często niewykończonych), których koszt budowy, a w następstwie obsługa długu, „zarzynają" budżet samorządu i powodują znaczne obciążenie podatkowe ludności. Ale w chwili rozpoczynania budowy komu mogło przyjść do głowy, że nas nie stać na okazałe gmachy?

Ten brak poczucia, że „nas nie stać na to" był powodem, że w Polsce zreguły programy inwestycyjne cieszyły się popularnością a przez to stawały się programami realnemi, a programy zawierające jako myśl przewodnią wzrost kapitału obrotowego i co zatem idzie obniżenia stopy procentowej nigdy nie mogły się należycie rozwinąć. Bo w polskiej myśli ekonomicznej hoduje się jeszcze jedna illuzja, że brak kapitału zostanie wyrównany dopływem kapitału zagranicznego. To że ten kapitał jest b. kosztowny, że naskutek wysokiej stopy procentowej w Polsce zyski kapitału zagranicznego są niepomiernie duże, to sie wymyka z pod oceny ogółu podobnie jak wymyka się wiele zagadnień stanowiących istotne problematy ekonomiczne.
Mówi się często „podnieśmy wydajność do poziomu Poznańskiego, to nietylko, że nie będziemy przywozić zboże, ale jeszcze będziemy eksportować". Dobrze, ale intensyfikacja produkcji rolnej połączona jest ze zwyżka kosztów produkcji, co tem samem uniemożliwia eksport.
Rzeczywistość, jest odmienna. Wypunktować ją łatwo: duża gęstość ludności, szereg acz niezbyt bogatych kopalń, b. mała ilość kapitałów, nikły dochód społeczny. Czy to są warunki niemożliwe do bytowania? Ależ nie, przecież w tych warunkach bytujemy, i to przy zwiększeniu kosztów naskutek „illuzyj", przecież przy tych warunkach posiadamy największe tempo kapitalizacji w Europie. Jeszcze nie było takiego wypadku by świadomy, celowy i zorganizowany wysiłek nie wzmógł dobrobytu narodowego. Dla osiągnięcia tego konieczną jest likwidacja illuzyj, podrażają one koszty bytowania i rozwoju społeczeństwa, utrudniają ugruntowanie się zdrowych myśli gospodarczych, sprzyjają zaś paljatywom. A często na poszczególnych odcinkach życia gospodarczego illuzje wytwarzają stan faktyczny sformułowany niedawno w dowcipie „mojem minimum egzystencji jest życie nad stan".

STEFAN MEYER

GDYBY NA CHWILE...

W polityce gospodarczej istotne znaczenie posiada nie nazwa procesów i nie forma ustroju, lecz możność przyrostu bogactwa.

Gdyby na chwilę przypuścić, że dżin z bajek Szecherezady przenosi nas, ludzi żywych, jakiemi dziś jesteśmy, z naszemi nawyknieniami, pragnieniami, marzeniami, dążeniami, z całym balastem naszego wykształcenia, z całą naszą kulturą XX wieku. — w krainę, gdzie zachodzą procesy gospodarcze w myśl planu, gdzie każdy wie, „co mu jest pisane", jaką ma pełnić funkcję gospodarcza, oraz jakie skutki gospodarcze pociągnie za sobą działalność jego na innych polach: gdybyśmy więc mieli wyobrazić sobie, że już żyjemy w układzie gospodarki planowej i w dodatku w jej najskrajniejszej formie — w integralnym kolektywiźmie, — to niechaj wyobraźnia nasza snuje wątek tych marzeń konsekwentnie dalej i pokaże, jak działalność nasza na układzie kolektywnym się odbije.
Działalność gospodarcza nie jest celem sama w sobie. Walka o pieniądz to tylko pewna forma walki o byt. Działalność nasza na polu gospodarczem ma zawsze w ostatniej instancji cele leżące w innej płaszczyźnie. I działający na polu gospodarczem „homo oeconomicus", to nie ten, który stwarza bogactwa, aby bogactwa trwały i istniały, ale taki, który ma cele — w ostatniej instancji — konsumpcyjne. Pracuje ów homo oeconomicus dziś w imię zasady gospodarczości: najmniejszym wysiłkiem — najwię-

ksza wydajność. Poco łowca zakłada sidła? — aby samemu nie tracić czasu na polowanie na drobną zwierzynę, — aby czas spędzić inaczej, a zwierzynę mieć w ręku. Poco chłopak z lokomotywy przywiązał drążek suwaka do części maszyny? — aby samemu grać w piłkę. Poco młody Edison wymyślił automatyczny aparat sygnalizacyjny? — aby spać po nocy. Celem ich zachodów było zwolnić się od trudów codziennej pracy; wierzyli, że maszyna spełni za nich tę pracę, a owoc jej — im pozostanie. I czas pewien oni jedynie owoce tej pracy zbierają. Czas pewien, bo popularyzacja wynalazku zmienia układ sił.

Czytaliśmy w „Fantazji Almayera" J. Conrada o tym Holendrze, co „odkrył rzekę". Powodzenie jednego człowieka spędza sen z oczu jego konkurentów. starają się oni także rzekę tę odkryć i także handlować z dzikiemi, do których ona prowadzi. Czemu? Dlaczego powodzenie bliźniego zamiast cieszyć, martwi homines oeconomicos? Bo widzą, że tamten mniejszym wysiłkiem osiąga lepsze od nich rezultaty i zasada najmniejszego wysiłku zmusza ich do zwiększenia swego wysiłku dzisiejszego, aby w przyszłości mniejszym wysiłkiem osiągać lepsze rezultaty. Homo oeconomicus łowi marzenie, — goni fantasmagorję najmniejszego wysiłku, a drogą ku niej jest zwiększenie wysiłku dzisiejszego. W najprostszej formie brzmi ta zasada, równie wrodzona ludziom w pałacach, pszczołom w ulach, wiewiórkom w dziuplach i chomikom w norach: „Wysil się więcej, niźeli trzeba na dziś, a owoc tego wysiłku odłóż na później". Jeden konik polny nie poddawał się nakazowi zwiększonego wysiłku i spotkała go za to zasłużona nagana ze strony mrówki. Istnieją coprawda lilje polne i ptaszki niebieskie, co nie sieją i nie orzą, ale nasze potrzeby wyrosły daleko ponad to, co dla lilji polnych stanowi minimum egzystencji. Owa pogoń za fantasmagorją lepszego jutra, która u niektórych ludzi przeradza się w skrzętność, zapobiegliwość, oszczędność, skąpstwo; albo u innych w wynalazczość, w pogoń za kamieniem alchemicznym, w manję wynalazcy wreszcie, co boi się finansiście swemu pokazać zasadę opatentowanego nawet wynalazku i wskutek tego często nie dopuszcza do jego realizacji; która wyradza się u innych w pracowitość częstokroć nadmierną, uznającą odpoczynek za dopuszczalny o tyle tylko, o ile stanowi odetchnienie celem nabrania sił do dalszej pracy: która przeniesiona w inną dziedzinę wyganiała zdrowych ludzi w pustynię, na odludzie, na puszcze. wśród dzikich, na niewygody, na poniewierkę, na katuszę, na śmierć wśród męczarni, ażeby na tamtym świecie zdobyć szczęśliwość wieczną: — pragnienie to, u podstaw duszy ludzkiej i zwierzęcej leżące, nazwijmy *doppingiem nadziei*.

Dopping nadziei związany jest blisko z trzecim na polu gospodarczem niezmiernie ważnym czynnikiem psychicznym, który znamy, jako zawiść zawodową.

Któż z nas nie słyszał (i nie mówił) źle o bliźnich? Franciszek Mohr oczerniał przed ojcem swego brata, aby zagarnąć schedę; Royaliści oczerniali Korsykana, aby zagarnąć władzę. Antagonizm Lamartine'a i Chateaubriand'a, albo Michała Anioła i Rafaela są powszechnie znane. Trzeba być słodyczą i dobrocią, jak Tomasz Zan, aby szczerze gratulować Mickiewiczowi uzyskania posady, o którą sam zabiegał. Takie charaktery dlatego zwracają na siebie naszą uwagę, bo należą do wyjątków.

Na polu gospodarczem zawiść zawodowa prowadzi często do posunięć, których etyka nigdy uzasadnić nie potrafi. Np. usuwanie z Niemiec „zbędnych cudzoziemców". W Polsce zawiść o cudzy zarobek wywołała wespół z innemi przyczynami o lokalnym i historycznym charakterze, jako akt samoobrony — przekonanie o niewłaściwości zarobku i zysku i deklaracje o pracy nie dla zarobku, a dla ideału: eksport — aby tylko służyć Ojczyźnie; fabrykacja — aby tylko wzmóc dochód społeczny; geszeft — jedynie aby przyczynić się do obrotu pieniężnego; praca zarobkowa — aby przeżyć. Ażeby zarobić, aby żyć lepiej, — nie, do tego motywu działania wielu rodaków za nic się publicznie nie przyzna.

Zakłamanie wywołuje autosugestję. Pracujemy niby poto tylko, aby aparat gospodarczy się ruszał. Co za idealny materjał ludzki dla gospodarki kolektywistycznej. Wystarczy każdemu powiedzieć, co mu jest pisane, aby, wyzuty z chęci zarobku, pełnił przeznaczone mu przez „plan gospodarczy" funkcję.

A jakiż ten plan ma być? Założyliśmy, że dżin przeniósł nas w krainę integralnego kolektywizmu, gdzie więc każda rzecz jest własnością ogółu. Każdy warsztat pracy, każdy kawał pola, każdy sklep jest własnością ogółu, którego reprezentantem jest określony zawsze organ społeczeństwa. A człowiek? Człowiek jest funkcjonarjuszem tego, czy innego organu; wyższym lub niższym; czynnym, obserwującym, kontrolującym, lub reflektującym funkcjonarjuszem płatnym. Płaca jego może niekiedy być ściśle odmierzona według wysiłku; praca ściśle (dzięki wysokiemu stanowi psychotechniki w owej krainie) przystosowana do zdolności, a zamiłowanie do pracy wzbudzone przez umiejętne wychowanie i propagandę w kółkach towarzysko - branżowych.

Wydaje mi się, że przeczę pierwotnym założeniom. Przypuściliśmy wszakże, że przeniesieni jesteśmy do owej krainy en bloc, my — ludzie żywi, jakiemi dziś jesteśmy — których brać należy jak „murzynka z jego wadą" (patrz Szecherezada, noc 38, historja murzyna Kafura). Nasza psychika dzisiejsza, w której tkwi głęboko i instynkt najmniejszego wysiłku i doping nadziei i zawiść zawodowa, że tylko do tych trzech czynników się ograniczę, pomijając próżność, prestige etc. — nie jest jeszcze urobiona do niewolniczej wiary w ideały zawodowe pisanego każdemu z nas stanowiska. Jeszcze subjekci w sklepie chcą pogawędzić, gdy wchodzi klijent. — Ten przecie musi kupić — niech czeka. I klijent w ustroju kolektywistycznym będzie chwilkę czekał aż go zaczną obsługiwać, zanim go wogóle zauważą, prawie jak obecnie w Warszawie.

Zmieni się zasadniczo stosunek: kupujący — sprzedający. Kupujący będzie miał ten sam, co dziś interes w uzyskaniu towaru, sprzedający nie będzie miał tegoż co dziś poczucia zależności własnego interesu od obsłużenia klijenta. Szwankować zacznie detaliczne rozprowadzanie towaru.

Produkcja może nie odrazu odczuje zmianę systemu. Już dziś nie istnieją w tramwajach warszawskich premje dla motorniczych za oszczędzone zużycie prądu i za punktualną jazdę; postronny obserwator mógłby przypuszczać, że wysiłek motorniczych jest równomierny i nie potrzebuje wspomnianego bodźca.

Natomiast bardzo prędko rozpocznie się w produkcji ferment i przeinwestowanie na tle nowych wynalazków. Obawa straty mniej będzie hamować wynalazców, — nadzieja chwały bardziej ich pobudzać i organ gospodarki planowej, mający badać przydatność nowych projektów i decydować o wprowadzaniu ich w życie, będzie zarzucony pracą.

Jednak największe spustoszenia wprowadzimy w handlu hurtowym. Nierównomierne obsługiwanie rynków, niepunktualność dostawy będą trapiły życie gospodarcze jeszcze przed zamknięciem pierwszego roku obrachunkowego. A potem okaże się, że zarobki funkcjonarjuszy będą zależne nie od zarobków organu handlu hurtowego, a od dowcipu buchaltera, układającego bilanse. Powstanie w handlu i w przemyśle cała sztuka układania bilansów tak, aby wynikły w sumie dla funkcjonarjuszy największe premje. Powstaną nieistniejące dziś trudności w redagowaniu umów pracy, aby uniemożliwić owe buchalteryjne kawały.

Zabraknie jednocześnie bezpłatnego, wzgl. bardzo taniego wysiłku tych, co są na dorobku i starają się wybić swoją placówkę, — wysiłku dorabiającego się drobnomieszczaństwa. Zabraknie taniego wysiłku tych wszystkich, co dziś, wbrew poczuciu niesprawiedliwości społecznej, pracują ponad normę dla firmy, z którą czują się zrośnięci. Tam gdzie też firmy zdanej w oczach pracowników na ich siły wyłącznie nie będzie, tam gdzie będzie jedynie organ większej całości, tam człowiek dzisiejszy wierzyć będzie, że owa większa całość pokryje losowe niepowodzenia i straty i nie będzie się martwić o nie. Praca całego aparatu gospodarczego zbiurokratyzuje się jeszcze bardziej, aniżeli to dziś ma miejsce, a wraz z biurokracją wzmogą się te błędy, które już dziś u nas, nie w owej fantastycznej krainie, dają poważne powody do niepokoju o dalsze losy dochodu społecznego.

Niewątpliwie rozsadzanie aparatu gospodarczego owej krainy przez nas trwałoby czas pewien. Ale polacy już nieraz dokonali podobnego dzieła. Vide Miejskie Zakłady Zaopatrywania Warszawy, lub inne biurokratyczno - handlowe przedsięwzięcia.

Czy stąd wniosek, że kolektywizm integralny się dla nas nie nadaje? Może słuszniej byłoby powiedzieć, że my się dla niego nie nadajemy. Pozostaje nam jedna alternatywa: zmienić naszą psychikę, albo druga: prosić dżina, aby nas wrócił na teren dzisiejszy, i zmieniać ustrój gospodarczy o tyle tylko, o ile zajdzie potrzeba; powoli, w miarę zmian w naszej umysłowości.

Czy jednak psychika narodów się zmienia? Odpowiedź dana przez Henryka Ptasznika, króla niemieckiego, Węgrom w 925 roku brzmi bezmała tak samo, jak list prezydenta Rzeszy do Hoovera z 1931 roku. Przez tysiąc sześć lat dusza niemiecka zmieniła się tak mało; wówczas, jak dziś, niepłacenie zobowiązań międzynarodowych połączone było ze zbrojeniami. Albo czyż słowa posłów Wielkiego Nowogorodu wypowiedziane wobec Normannów w 862 roku nie przypominają sprowadzania speców przez ZSSR. Wówczas, jak i dziś, ziemia tego narodu była bogata i obfita, ale porządku w niej nie było. Możemy coprawda wraz z Izaakiem Newtonem wierzyć, iż „paulatim eruditur vulgus“, ale czyż wykształcony naród niemiecki w Kaliszu postąpił inaczej, niż

podczas Sacco di Roma? Chociaż coprawda widzieśmy kraj, gdzie rząd przed rokiem prosił obywateli, aby nie narażali waluty przez zbędne wyjazdy zagranicę — i taki apel wystarczył. Czyby u nas wystarczył w podobnych warunkach także? Ale czy tam był postęp? czy był rozwój charakteru narodowego? Wszak już przed wiekiem mógł adm. Nelson zwyciężyć, mówiąc w rozkazie do floty: „Anglja spodziewa się, że każdy dzisiaj spełni swój obowiązek". I wystarczyło takie wezwanie anglikom przed wiekiem, jak przed rokiem wezwanie Snowdena... Odmienną jest psychika każdego narodu i dość trwała każda w swojej odmianie. Jednak różnicy psychiki polskiej i angielskiej nie bierze się pod uwagę przy teoretycznem ustalaniu psychicznych podstaw ekonomiki. Liberalizm gospodarczy, głoszony przez pewne koła u nas oparty jest na teorjach zbudowanych gdzieindziej i zwalczany przez przeciwników w imię haseł nieraz już, acz bez powodzenia, gdzieindziej realizowanych.

Gdyby na chwilę... odwrócić wzrok od cudzych wzorów i przepisów, a skierować na motywy działania ludności, co pawiem narodów była i papugą; gdyby na chwilę, wraz z mądrym królem Francuzów rzucić już hasło: „wzbogacajcie się" i zaobserwować, jakie są prawdziwe motywy działania tej ludności na polu gospodarczem, — wówczas zagadnienie nazy ustroju gospodarczego, w którym żyjemy, straciłoby może na znaczeniu, recepty podawane w imię angielskich teorji, straciłyby na aktualności, a nocne rodaków rozmowy straciłyby wiele tego uroku świeżości, jaki daje jedynie nieprzemyślenie tematu.

KAZIMIERZ BRODNICKI

TROCHĘ ZIMNEJ WODY

Wysuwane coraz częściej projekty uruchomienia robót publicznych celem „produktywnego zatrudnienia bezrobotnych", ograniczają się do truizmów i ogólników, nie biorąc pod uwagę organizacyjnej i finansowej strony zagadnienia oraz ogólno - gospodarczych skutków wspomnianej akcji.

Niema obecnie, jak się zdaje, bardziej porywającego hasła, jak: „walka z bezrobociem". Co należy rozumieć przez słowo: bezrobocie — wiemy wszyscy doskonale, co natomiast oznaczają słowa: walka z bezrobociem — nie wiedzą nawet ci, którzy je wymawiają lub wywieszają, jak sztandar.

Walka, dobrze, ale — jaka? w jaki sposób? przy pomocy jakich środków?... Jasne jest, że nie chodzi tutaj o posługiwanie się ręcznym czy ciężkim karabinem maszynowym. Lecz czy ma to oznaczać, że należy postawić „gospodarczy karabin maszynowy"? Z jakich okopów gospodarczych mamy „kropić" w bezrobocie, skąd wziąć amunicję i jaką? Kto ma prowadzić kolbę tego „karabinu"? —

Społeczeństwo jest oburzone, że bezrobotni biorą pieniadze za darmo. Widzi się w tem bezprzykładne marnotrawstwo grosza publicznego. Żąda się, aby nie demoralizowano bezrobotnych jałmużną. W istnieniu setek tysięcy wolnych rąk do pracy, widzi się wspaniały motor energji, zdolnej conajmniej ożywić, o ile nie zwekslować konjunkturę. Z tego „oburzenia", z tych żądań, i złudzeń powstaje „plan wielkich robót publicznych", jako środka do „walki z bezrobociem". Roboty publiczne mają się stać owym „karabinem gospodarczym", przy którego pomocy Rząd „ustrzeli" bezrobocie, likwidując je na amen.

Mówiąc o robotach publicznych, podejmowanych pod egidą tej czy innej „walki", dla zadośćuczynienia pewnym problemom socjalno-politycznej natury i *w okresie długotrwałej depresji gospodarczej*, z większa niż zwykle uwagą musimy rozpatrzyć trzy zasadnicze elementy tego zagadnienia: *organizację, sfinansowanie i skutki ekonomiczne dywersyjnych* (wydaje się to najlepszem dla nich określeniem) *robót publicznych*.

Zorganizowanie robót publicznych pod kątem „produkcyjnego zatrudnienia bezrobotnych" nie jest ani proste, ani łatwe, aczkolwiek jesteśmy bogaci w doświadczenia, poczynione przez państwo i samorząd od r. 1919 począwszy. Pomiędzy wielkością bezrobocia w danym ośrodku a intensywnością jego niezaspokojonych potrzeb inwestycyjnych nie zawsze zachodzi stosunek wprost proporcjonalny; wysuwany b. często postulat, aby w pierwszym rzędzie kadry bezrobotnych użyć do meljoracji Polesia, jest typowym przykładem braku paralelizmu, o którym mówimy. Rozwiazanie takich kwestyj, jak: wybór najbardziej dotkniętych bezrobociem ośrodków przemysłowych, wybór najbardziej rentownych i niezbędnych prac inwestycyjnych przewiezienie, skomasowanie i wyżywienie zatrudnionych, oddalenie ich od rodzin i terenu, z którym są dzisiaj związani nietylko sentymentem czy wygodą, metoda pracy na robotach publicznych, nadzór, współudział innych czynników zainteresowanych (samorządu, osób prywatnych), zwózka, narzędzia i materjał pomocniczy i t. d., i t. d. — wymaga naprawde dokładnego *przemyślenia i skalkulowania* w sposób możliwie *wszechstronny*.

Nie roszcząc pretensyj do wyczerpania tematu, pozwolimy sobie zwrócić uwagę na kilka najbardziej zasadniczych punktów strony *organizacyjnej*. A więc musimy mieć ustalone ponad wszelką watpliwość, czy do robót publicznych może być użyty jedynie element fabryczny, bezrobotny miejski, czy również małorolny, lub bezrolny chłop, który dotychczas był zatrudniony bądź przy robotach komunikacyjnych (drogi, rzeki, kanały), bądź w warsztacie fabrycznym, jako element niewykwalifikowany. To nie jest wcale błaha kwestja, jeżeli się zważy, iż bezrobotni (chociażby we względnem pojęciu tego słowa) chłopi znajdują się „na miejscu", mają przeto ułatwione warunki mieszkanio-

we i aprowizacyjne, są niewątpliwie znacznie tańsi i bez porównania bardziej się nadają do robót terenowych, aniżeli wykwalifikowani hutnicy, monterzy lub włókniarze. Nie przesądzamy tutaj kwestji, którą grupę należy preparować, zwracamy jedynie uwagę na dwie strony medalu.

Idźmy dalej w swych rozstrząsaniach, które możnaby brać — niesłusznie — za wątpliwości i sceptycyzm. Weźmy więc „na warsztat" sprawę *planowości* robót publicznych i to nawet przy założeniu, że środki na ten cel znajdą się w dużej ilości i pozwolą na zatrudnienie, powiedzmy, 100.000 bezrobotnych w 100 mniejszych i większych ośrodkach. Budowa, dajmy na to, dróg bitych (szos) jest w obecnym stanie techniki i z uwagi na gospodarczą celowość robót rzeczą tak skomplikowaną i kosztowną, że tylko w ręce fachowe można powierzyć jej wykonanie, że przystąpienie do budowy musi być poprzedzone złożeniem ogólnego planu gospodarki drogowej w danym ośrodku na 5 lat conajmniej, że musi istnieć plan finansowy i techniczny, możliwie szczegółowo wypracowany, że niezbędny jest program kolejności robót, odpowiednio skoordynowany z innemi ośrodkami i władzami nadzorczemi i t. d. Bez tego będziemy mieli nie roboty publiczne, gospodarczo użyteczne, lecz *ciężkie roboty*, na jakie w Anglji skazują niebezpiecznych przestępców, zmuszając ich do kopania i zasypywania tych samych rowów. Powierzenie bezrobotnym wykonania takiego czy innego zadania w zakresie robót publicznych wymaga zarazem odpowiedzi na pytanie: jak mają być zorganizowane te roboty? Czy należy ustanowić biurokratyczny czy skomercjalizowany system pracy i wynagrodzenia? Czy tolerować lenistwo i bezmyślność, czy też stosować premje za wydajność? Czy prowadzić wojskową (w przenośni lub dosłownie) dyscyplinę i odpowiedzialność? Czy — wzorem włoskim — wykonywanie robót publicznych powierzyć spółdzielniom pracy, zrzeszającym bezrobotnych, kierowanym przez inżynierów i utrzymującym dyscyplinę i wydajność metodą zbiorowej solidarności? Czy względy bezpieczeństwa nie staną na przeszkodzie skupianiu w jednym punkcie większych mas ludzkich, których zmienność przekonań i żywość reakcji możemy sobie doskonale wyobrazić?

Przejdźmy z kolei do *finansowej* strony zagadnienia. O nią zazwyczaj rozbijają się nawet jako tako zmontowane organizacyjnie dywersyjne roboty publiczne. Rozpatrzmy tutaj nast. możliwości

Po pierwsze — akcję celowego zatrudnienia bezrobotnych oprzemy na *budżecie* państwa, samorządów i instytucyj ubezpieczeń społecznych. Możliwości budżetowe pierwszych i drugich są naprawdę nikłe i nie można się dziwić, że i Minister Skarbu i Minister Spraw Wewnętrznych nie przejawiają dostatecznego zapału do przeznaczenia na roboty publiczne resztek wolnych kredytów rzeczowych. Budżety państwa i samorządów mają charakter wegetacyjny w wydatkach osobowych i opancerzony w wydatkach rzeczowych. Opieka społeczna tu i tam korzysta dzisiaj z kwot drobnych; nie będziemy dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że i państwo i samorządy wygospodarują na ten cel 50 miljonów złotych. Co się natomiast tyczy zakładów ubezpieczeń społecznych, to należałoby zastanowić się nad tem, czy i w jakim stopniu kwoty, wypłacane przez nie pracownikom zwolnionym, dałyby się przekształcić na wynagrodzenie za pracę, oddaną, dajmy na to, w postaci uczestnictwa w robotach publicznych.

Po drugie — sfinansowanie robót publicznych przejmie w lwiej części zainteresowany *przemysł*. Projekt posłów z Bloku Bezpartyjnego mówi o 140 milj. zł. (na ogólną sumę 180 milj. zł.), których ma dostarczyć przemysł metalowy, cementowy i t. p. Nie wyobrażamy sobie jednak takich robót publicznych, których realizacja zależałaby od pomocy hut, fabryk metalowych, cementowni i t. d. Normalne, typowe, tanie roboty publiczne wymagają prymitywnych narzędzi i urządzeń, a jako materjału potrzebują przedewszystkiem kamienia, w ostateczności cementu. Roboty publiczne są robotami ziemnemi o minimalnem wykorzystaniu jakichkolwiek fabrykatów. Jeżeli ma być w nich użyte żelazo, wapno, cegła, cement, drzewo etc., to będziemy mieli wówczas roboty inwestycyjne w ścisłem tego słowa znaczeniu, a zatem budownictwo, roboty inżynieryjne i t. p. Ale w takim razie trudno sobie wyobrazić, skąd się znajdą środki na sfinansowanie już tak bardzo skomplikowanych robót, w których robocizna stanowi względnie nieznaczną część i wymagających z reguły robotników wykwalifikowanych (techników, murarzy). Nie wystarczy zatem postawienie tezy, że przemysł ten czy ów wzamian za *zaległości podatkowe* dostarczy swych wyrobów, o ile są one *już* wyprodukowane, lecz trzeba jeszcze powiedzieć, że zalegające z podatkami banki prywatne dostarczą kapitału obrotowego, że z tych samych powodów biura budowlane podejmą się opracowania planów i dozorowania robót, że kto inny znowu z tytułu zaległości podatkowych obejmie wybudowane objekty w administrację lub zorganizuje sprzedaż czy dzierżawę tych objektów. Ale zaległości podatkowe to nie kapitał, który sfinansuje roboty, to nie podstawa czy zastaw dla uzyskania kredytów. Nie mielibyśmy natomiast nic przeciwko temu, aby zaległości podatkowe zamienić na świadczenia w naturze, polegające na dostawie tłucznia i środków przewozowych (pomysł natomiast odrobienia pewnej liczby dni roboczych jest chybiony z punktu widzenia zatrudnienia *bezrobotnych*).

Po trzecie — państwo lub samorządy zaciągną *pożyczkę* w kraju lub zagranicą, bądź emitując obligacje specjalnej pożyczki (wewnętrznej w pierwszym rzędzie), bądź przeznaczając na jej pokrycie czy to wpływy, uzyskane z realizacji objektów wzniesionych na robotach publicznych, czy to przyszłe wpływy podatkowe, w międzyczasie zaś całą tę akcję sfinansują banki krajowe lub zagraniczne. Tak np. wysunięto niedawno projekt, aby na podstawie x zaległości podatkowych emitować y obligacyj na cele „produktywnego zatrudnienia bezrobotnych". Autorzy tego i jemu podobnych pomysłów zdają się nie doceniać słabości rynku pieniężnego w Polsce, który to rynek nie mógłby mieć specjalnego zaufania do papierów zabezpieczonych przy pomocy zaległych a niewiadomo czy dających się wyegzekwować należności skarbowych[1]).

[1]) Do projektów międzynarodowych robót publicznych pod egidą Ligi Narodów nie przywiązujemy absolutnie żadnego praktycznego znaczenia z uwagi na chaos polityczny i finansowy w Europie.

Nie bierzemy również pod uwagę pomysłów opodatkowania na roboty publiczne pracodawców; byłoby to bowiem „wypędzanie djabła Belzebubem".

Pozostaje nakoniec zagadnienie *ekonomicznych skutków* t. zw. dywersyjnych robót publicznych. Z punktu widzenia — że się tak wyrazimy — optycznego dobrze jest, gdy bezrobotni są zajęci i to pracą produkcyjną, w sposób celowy i wydatny. Nie jest natomiast gospodarczo obojętne, czem się zajmują: czy osuszają Polesie, czy budują szosy, czy wznoszą domy, czy też przeprowadzają modernizację fabryk. Mówi się nieraz, że roboty publiczne byłyby zdolne ożywić zamierające życie gospodarcze. Słusznie, ale jeżeli nasz dochód społeczny z 20 miljardów zł. w 1928 r. spadł, powiedzmy, do 15 miljardów w 1932 r., to dla odzyskania brakujących 5 miljardów muszą być zorganizowane roboty w takiej potężnej skali, któraby umożliwiła zatrudnienie martwych dzisiaj warsztatów pracy na kwotę 5 miljardów zł. Legendą jest, że 1 robotnik budowlany „zatrudnia" 16 robotników przemysłowych; prawdą jest natomiast, że stosunek ten brzmi 1 :1. Gdyby dla robót publicznych stosunek ten wynosił nawet 1 : 5, to musielibyśmy wsadzić w roboty publiczne conajmniej 1 miljard zł., co jest „marzeniem ściętej głowy". Mniejsze kwoty już nie pomogą na żadne „nakręcanie" konjunktury i odegrają jedynie rolę chwilową i lokalną.

Jaki skutek gospodarczy dać może zużycie np. 180 milj. zł., przewidywanych w projekcie posłów z B. B.? Gdyby cała ta kwota poszła na jeden cel, powiedzmy na meljorację Polesia, to jej efekt końcowy z punktu widzenia rolnictwa poleskiego byłby niezawodnie doniosły. Jeżeli w ciągu lat najbliższych rynek wewnętrzny się poprawi i zwiększą się szanse eksportowe, przyrost nowych obszarów uprawnej, dobrej ziemi będzie zjawiskiem niewątpliwie dodatniem. Gdyby wspomnianą kwotę przeznaczyć np. na budowę 100 km. kolei żelaznej, to również w wypadku poprawy konjunktury mielibyśmy już gotową inwestycję, której rentowność wykreśliłyby warunki lokalne, jakich dzisiaj nie możemy sobie dokładnie wyobrazić. Gdyby jednak za 180 milj. zł. wybudować 360 km. szosy, to już sama rentowność tego objektu nie mogłaby wystarczyć, należałoby bowiem przewidzieć, czy i w jakim stopniu ta inwestycja zmniejszy wpływy kolei. Zwracamy uwagę, że cały czas mówimy o jednym tylko objekcie, o skierowaniu sum, przeznaczonych na dywersyjne roboty publiczne, na jeden specjalny przedmiot i w jednym ośrodku. Jeślibyśmy poszli za radą dotychczasowych projektodawców i rozbili 180 milj zł. na 180, powiedzmy, ośrodków, to wówczas ten jeden miljon, za który się zbuduje np. 2 km. szosy, będzie dosłownie rzucony w błoto, gdyż 2-kilometrowa szosa w każdym powiecie nie poprawi stanu dróg, nie ulepszy komunikacji, nie wzmoże rentowności gospodarstw przy niej położonych i t. d. Możnaby coprawda na każdy powiat przeznaczyć przeciętnie po miljonie złotych i z tej kwoty pokrywać wydatki na konserwację dróg, mostów, kanałów i t. d., ale to wówczas nie będą roboty publiczne w rozumieniu naszych projektodawców, jeno restytucja sum, przewidzianych w dawniejszych budżetach na „normalne" roboty inwestycyjne z budżetu Funduszu Drogowego etc.

Jako generalną uwagę musimy wysunąć następujący postulat: sumy, przeznaczone na „produkcyjne zatrudnienie bezrobotnych", nie mogą ulec zamrożeniu. Dysponujemy bardzo szczupłemi środkami obrotowemi, wobec czego pakowanie 50, 100 czy 200 milj. zł. w budowle, których rentownie nie da się eksploatować, w szosy, konkurujące z koleją lub „wiszące w powietrzu" (t. zn. fragmentaryczne) w lokalne reperacje i umocnienia rzek i kanałów i t.d., byłoby grzechem nie do darowania. Gdybyśmy posiadali potężne rezerwy kapitałowe z lat dobrej konjunktury, wówczas „produkcyjne zatrudnienie bezrobotnych", zorganizowane w skali b. poważnej, przyczyniłoby się do złagodzenia konjunktury i do mniej gwałtownego przejścia od ożywienia do depresji i od depresji do ożywienia. Ale na to trzeba mieć — prócz tych rezerw, których niema — pewność, że depresja skończy się najpóźniej z wyczerpaniem się rezerw i że istotnie roboty publiczne staną się ową dywersją gospodarczą, o którą chodzi naszym projektodawcom.

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że brak pracy jest czynnikiem nawskroś demoralizującym i społecznie wybitnie ujemnym. Obawialibyśmy się jednak, gdyby z tego słusznego założenia wyciągano błędne wnioski, podejmując wielkie roboty publiczne, których konstrukcja organizacyjna, finansowa i ekonomiczna pozbawiona jest rąk i nóg, a często i głowy, lub w najlepszym razie powierzchowna i ogólnikowa. Przykłady Bułgarji i Niemiec albo niczego nie dowodzą (np. niemieckie „armje pracy", złożone z młodzieży nacjonalistycznej, służą celom strategicznym), albo stwierdzają, że pomyślano je na odczepkę (w Niemczech ma być zatrudnione 200.000 ludzi kosztem zaledwie 50 milj M.), albo dają rezultat negatywny (np. w hitlerowskich „bataljonach pracy" koszt dniówki wypadł 7 RM zamiast projektowanej 1.80 RM). Dlatego też sądzimy, że jeżeli motyw społeczny czy humanitarny ma grać dominującą rolę (przeciwko czemu zastrzeżeń zgłosić nie sposób), to już niech raczej państwo i samorządy pomyślą o przekarmieniu i odzianiu setek tysięcy bezrobotnych i ich rodzin, a Fundusz Pomocy Bezrobotnym, dostępny dla każdego, zastąpi państwowe i samorządowe roboty publiczne. Lepiej dobrze wykonać akcję „filantropijną", aniżeli kiepsko — ekonomiczną. A najlepiej dokładnie całą tę kwestję przeanalizować, skonfrontować z rzeczywistemi potrzebami i możliwościami ich zaspokojenia oraz zorganizować zawczasu tak, jak się powinno czynić w gospodarce „planowej".

U W A G I

DWIE BROSZURY.

Po inflacji stereotypowych lub conajmniej znormalizowanych artykułów prasowych, poświęconych obronie przed „demagogją“ postulatu obniżenia cen kartelowych, w ostatnich czasach wydano i rozpowszechniono dwie broszury poświęcone temu samemu celowi. Pierwsza, napisana przez p. S. J. Okolskiego, a wydana przez Polski Związek Przemysłowców Metalowych, nosi tytuł „Przemysł i rolnictwo“, wydaje się przeznaczona na „złagodzenie“ najbardziej na kartele rozsierdzonej, a niebagatelnej grupy zawodowej. Druga, to dra Edwarda Natansona „O zagadnieniu kartelowem“, skierowana raczej ku zjednaniu inteligencji miejskiej.

Broszura w walce polemicznej to coś, jak pocisk artyleryjski: więcej kosztuje i więcej się od niej wymaga, niż od zwykłych artykułów dziennikarskich. Zwłaszcza, gdy obaj autorowie należą do przodujących w przemyśle polskim postaci, a nadto obaj zastrzegają się przeciw uproszczonym i powierzchownym metodom rozumowania w dziedzinie skomplikowanych zjawisk gospodarczych. Te metody są przez nich przypisywane, rzecz prosta, przeciwnikom.

Pan S. J. Okolski nie wydaje się mieć przesadnego wyobrażenia o poziomie intelektualnym tych nawet rolników, którzy przeczytają jego pracę. Wyciągnięcie z faktu, że rozwój przemysłu jest niezbędny dla całego Państwa nie wyłączając rolnictwa, karkołomnego wniosku, że wszystkie egoistyczne kroki poszczególnych grup przemysłowych są skierowane ku szczęściu rolnictwa, wydaje się „uproszczeniem“ zbyt przejrzystem chyba nawet i dla wielu rolników. Po słusznem zaznaczeniu potrzeby głębokiej djagnozy p. Okolski pisze: „Napewno zaś taka głębią nie odznacza się ostre przeciwstawienie rolnictwa przemysłowi i twierdzenie, że jedną z istniejących przyczyn kryzysu rolnictwa jest polityka przemysłowa, uogólniając ją do polityki karteli przemysłowych, zaś najlepszem remedjum będzie wstrzymywanie się rolników od zakupów towarów przemysłowych“.

Zdaje mi się, że trudność zrozumienia tego zdania zawdzięczamy nietyle jego „głębi“ ile kolizji z zasadami składni polskiej, oraz oryginalnej terminologji, w myśl której przenoszenie pojęć z dziedziny szerszej (polityka przemysłowa) do węższej (polityka karteli) nazywa się uogólnianiem. Jeżeli przytoczone zdanie należy rozumieć w ten sposób, że nie należy błędami polityki kartelowej obciążać całego przemysłu, w takim razie autor ma słuszność, ale wówczas cel broszury byłby mało zrozumiały, bo utożsamianie karteli z przemysłem, można już dziś spotkać tylko w szerokich masach ludowych, do których zapewne wydawnictwa Związku Przemysłowców Metalowych rzadko trafiają, oraz w niektórych enuncjacjach obrońców polityki kartelowej. W tym ostatnim wypadku błąd nie pochodzi z braku uświadomienia.

Obok znanej i naprawdę już nadużywanej tendencji sprowadzenia zainteresowań rolnictwa w dziedzinie cen kartelowych do wąskiego odcinka bezpośredniego wpływu na koszty produkcji rolnej, znajdujemy w pracy p. Okolskiego interesujący sposób wyciągania wniosków ze statystyki handlu zagranicznego. Na str. 3-ej autor zaznacza, że czynne saldo bilansu handlowego za r. 1930 w sumie 187 milj. zł. „osiągnięte zostało przez nadwyżkę wywozu płodów rolnych nad przywozem wyrobów przemysłowych, których produkcja krajowa jest niewystarczająca“. Chodzi o potrzebę poparcia przemysłu. Ale już na str. 4-ej, dla innego wywodu, „liczyć się musimy z małą chłonnością rynku krajowego, z czego wynika konieczność lokowania nadwyżki produkcji ponad konsumcję wewnętrzną na rynkach zagranicznych“. Przy tej, niewątpliwie „wszechstronnej“ metodzie wnioskowania, czytelnik chcący się zorjentować, czy produkcja przemysłowa jest w stosunku do potrzeb rynku zamała, czy zaduża, znajdzie się w niejakim kłopocie.

Praca dra Natansona wolna jest od podobnych sprzeczności i niejasności, odznacza się przejrzystością konstrukcji, ułatwiającą uchwycenie niedomagań argumentacji. Autor podkreśla teoretyczne, podręcznikowe przymioty karteli (regulowanie rynku, umożliwienie dumpingu i porozumień międzynarodowych, uzdrowienie handlu, usprawnienie techniczne, obniżenie kosztów własnych, a przedewszystkiem umiarkowana polityka cen) i wyciąga stąd wnioski dla praktyki. Gdyby wszyscy monarchowie odznaczali się rozumem i cnotą, absolutyzm nie byłby powszechnie znienawidzony, a gdyby wszystkie kartele stosowały się do rozumnych wskazań teorji, to nie mielibyśmy tylu wrogów polityki kartelowej. Gdzie jednak znika kontrola publiczna, tam tylko wyjątkowe jednostki mogą liczyć na publiczne zaufanie. Autor wprawdzie twierdzi, że gospodarka karteli jest zupełnie dostępna dla kontroli, dzięki ogłaszanym bilansom spółek akcyjnych, ale nie chcąc go posądzać o spekulowanie na brak elementarnych pojęć o analizie bilansów wśród czytelników, należy powyższe zdanie poczytać za dobry żart. Zapewne również żartem i nie mniej złośliwym, jest podkreślone przez Autora zdanie, że „naczelną zasadą, dzisiaj powszechnie uznaną za kanon polityki kartelowej, jest niedopuszczanie do cen nadmiernych“. Złamanie tego kanonu miałoby się zemścić na samym kartelu, zachęcając do outsiderstwa. Czyżby autor nie wiedział, że zamiast stosować ów kanon, najważniejsze kartele postarały się o sparaliżowanie sankcji?

Dr. Natanson sądzi, że utrzymywanie sztywności („stabilizacji“) cen łagodzi wahania konjunkturalne. „Tymczasem w Polsce — czytamy — zarzuca się kartelom właśnie utrzymywanie tak zwanych sztywnych cen, które zresztą bynajmniej sztywnemi nie są, jak to w dalszym ciągu wykażę, czyli uderza się w nie za to, co jest jednem z najistotniejszych ich zadań“. A więc ceny kartelowe nie są sztywne, a gdyby były sztywne, toby było najlepiej! Pierwsza część tej oryginalnej tezy opiera się na porównaniu przeciętnych cen, otrzymanych ze sprzedaży i eksportu, za węgiel, cukier i benzynę. Cukier niebardzo się udał, bo już rok 1931 — 32 dał zdecydowany wzrost tak obliczonej przeciętnej. Utrzymanie sztywnych cen węgla, i benzyny podczas kryzysu oczywiście skomprymowało spożycie krajowe, zwiększając udział eksportu przy spadających cenach światowych i obniżając wynik przeciętny. Zaniechanie

eksportu podniosłoby znakomicie ten wynik, ale podniosłoby równocześnie koszty własne na jednostkę towaru. Przeciętna więc cena z eksportu i sprzedaży krajowej ani nie decyduje o opłacalności, ani nie uprawnia do wniosku, że nie prowadzono polityki cen sztywnych. Natomiast teoretyczna część jest jaskrawym błędem: utrzymanie niepodwyższonych cen głównych surowców podczas poprawy i ożywienia zachęca do tem gwałtowniejszego rozrostu produkcji, utrzymanie zaś cen nieobniżonych w okresie recesji i depresji tem dotkliwiej komprymuje obroty. Zatem stabilizacja cen „bez nadmiernych zysków podczas konjunktury i bez nadmiernych strat, gdy jej niema“ musi być uznana za czynnik zwiększający gwałtowność przebiegu konjunktury.

Efektowne pytanie, „czy ojciec, którego jeden syn wpadł do rzeki i tonie, powinien dla sprawiedliwości wrzucić i drugiego syna, powtarza się nie po raz pierwszy i dlatego warto się niem zająć. Pominięcie związku przyczynowego między katastrofą jednego syna i ocaleniem drugiego stanowi właśnie to uproszczenie, paczące obraz rzeczywistości, o które z reguły są pomawiani zwolennicy obniżenia cen sztywnych. Jeśli powiemy, że ojciec z synami znalazł się na pustyni, z zapasem wody zaledwie wystarczającym na ciężkie przetrwanie do nadejścia pomocy, a jeden z synów znalazł sposób zwiększania swojej porcji kosztem ojca i brata, wówczas analogja będzie prawdziwsza, a odpowiedź na pytanie, co powinien uczynić ojciec wypadnie nieco inaczej. Tak zmieniona analogja słusznie przypomina, że ceny sztywne są narzędziem egoistycznego podziału dochodu społecznego.

Enuncjacje przemysłu skartelizowanego są pożyteczne, pozwalają bowiem łatwo stwierdzić, że w obronie postulatu utrzymania sztywności cen najprzedniejsi jego obrońcy nie są w stanie przedstawić realnych argumentów.

J. Poniatowski.

SPIRYTUS I BENZYNA.

W artykułach polemicznych w sprawie mieszanek spirytusowych do napędu motorów, jakie od czasu do czasu ukazują się w prasie codziennej lub organach fachowych, najbardziej spornemi są nieraz nie te argumenty, które zostały wyłuszczone, ile te, które wstydliwie zostały pominięte. Czytelnik może nieraz częściowo godzić się z przytoczonemi argumentami — a jednak zdaje sobie sprawę, że autor nie ma racji, gdyż uchylił się od podjęcia dyskusji na terenie dla siebie niedogodnym.

Tak naprzykład przeciwnicy mieszanek starannie pomijają milczeniem niezmiernie ważny problemat: jaka będzie przyszłość przemysłu automobilowego, wobec tego, że światowe zapasy ropy naftowej są dość ograniczone. Autorom niewątpliwie znana jest bogata literatura dotycząca tego zagadnienia, a między innemi — w naszej literaturze — praca H. Gliwica p. t. „Podstawy ekonomiki światowej“.

W pracy tej Gliwic, powołując się na szereg poważnych źródeł, udawadnia cyfrowo powszechnie znaną rzecz, że światowe złoża ropy są bardzo szczupłe i przy błyskawicznym rozwoju przemysłu automobilowego starczą zaledwie na lat kilkadziesiąt.

Gdyby „antymieszankowcy“ tego zagadnienia nie pomijali głuchem milczeniem, wówczas nie dochodziliby do dość ryzykownego twierdzenia, że jedynym motywem, który skłonił rządy francuski, niemiecki, włoski i t. p. do wprowadzenia mieszanek spirytusowych był tylko argument obrony bilansu handlowego lub, w dalszym rzędzie, argument obrony kraju.

Argumenty te nieraz są wysuwane na pierwszy plan, jako uderzające swą prostotą, za niemi jednak kryje się troska o przyszłość przemysłu automobilowego, gdy złoża ropy zaczną się w sposób zupełnie widoczny wyczerpywać i gdy cena benzyny zacznie się podnosić.

Wprowadzenie mieszanek napędowych w przytoczonych państwach daje doraźne korzyści w zakresie bilansów handlowych — istotnie jednak, poza korzyściami, jakie stąd osiąga rolnictwo, ma na celu odsunięcie niebezpieczeństwa braku benzyny — opóźnienie powstania momentu krytycznego dla automobilizmu.

Ta sama troska o ewentualne wyczerpanie się benzyny w okresie najbliższych kilkunastu lub kilkudziesięciu lat skłania technikę do ulepszania benzyny syntetycznej. W tym kierunku bardzo poważne prace są już prowadzone, tak że np. w Niemczech zbyt benzyny syntetycznej „Leuna“ w r. 1931 doszedł do 100.000 tonn, z perspektywą podniesienia się tej cyfry w najbliższym czasie do 350.000 tonn rocznie.

Z jednej więc strony spirytus, z drugiej zaś benzyna syntetyczna będą przeciwdziałały przewidywanemu brakowi benzyny.

Sama troska o bilans handlowy nie byłaby dostatecznym impulsem do zastępowania choćby częściowego benzyny przez spirytus — gdyż gdyby to istnienie było jedynym argumentem, to dążność do obrony bilansu handlowego byłaby się ujawniła i w innych dziedzinach importu w sposób równie radykalny. Podłoże zatem sprawy mieszankowej jest głębsze, ustawodawstwo mieszankowe zagranicą nie wyskoczyło rządom państw europejskich, jak Minerwa z głowy Jowisza i były poważne powody, które skłoniły te rządy do forsowania spirytusu.

Krytykując stanowisko tych rządów, antagoniści mieszanek znajdują jednak pewien motyw dla pobłażliwości w tym fakcie, że ani Francja, ani Niemcy, ani Włochy nie posiadają własnych złóż ropy naftowej — natomiast dziwią się, że tendencja do wprowadzenia mieszanek spirytusowych mogła powstać również w Polsce, kraju posiadającym własną ropę.

Bądźmy jednak szczerzy i zgódźmy się, że przemysł naftowy poza Stanami Zjednoczonemi nie ma nigdzie charakteru przemysłu rodzimego, że jest, przeciwnie, wszędzie oparty o kapitał międzynarodowy. Spirytus będzie solą w oku przemysłu naftowego, tak samo we Francji i Niemczech, które nie mają ropy krajowej, jak w Polsce, która tę ropę posiada. Mimo wszystko rządy francuski i niemiecki nie ulękły się przeciwności ze strony przemysłu naftowego i wprowadziły mieszankę, gdyż do tego pchała je konieczność podtrzymania istotnie rodzimego przemysłu spirytusowego.

Ten motyw interesu narodowego, interesu rolnictwa występuje wyraźnie w polityce Francji i Niemiec i decyduje o rozwoju akcji zbytu spirytusu napędowego.

We Francji sprzedano spirytusu napędowego:

w r. 1924 — 15,5 milj. litr.
„ „ 1925 — 28,9 „ „
„ „ 1926 — 24,6 „ „
„ „ 1927 — 28,5 „ „
„ „ 1928 — 17,7 „ „
„ „ 1929 — 23,4 „ „
„ „ 1930 — 42.4 „ „
„ „ 1931 — 74.3 „ „

Z cyfr powyższych wynika, że rząd francuski do roku 1929 nie forsował zbytnio zbytu spirytusu do mieszanek. Dopiero w roku 1930 i 1931 zaznaczył się gwałtowny wzrost. Był on wynikiem olbrzymiego urodzaju winogron w r. 1929/30; nadprodukcja wina, która w tym czasie powstała, skłoniła rząd francuski do przeprowadzenia przez parlament ustawy z dnia 19 kwietnia 1930r. upoważniającej do zakupu spirytusu wyprodukowanego z wina na sumę 250 milj. franków. Ponieważ ustawa z 19 kwietnia 1930 r. obowiązywała tylko do 31 grudnia tegoż roku, zatem dla trwałego zabezpieczenia winiarstwa przed nadprodukcją wydana została ustawa dnia 4 lipca 1931 r., która ustala, jaka nadwyżka produkcji wina w razie jej powstania musi być zużyta w postaci spirytusu do napędu motorów. Normalna produkcja wina została określona w wysokości 65 milj. hektolitrów, nadwyżka zaś będzie musiała być przedystylowana i będzie zakupowaną przez państwo dla celów napędowych.

Ustawodawstwo francuskie wyraźnie zatem wskazuje, że motyw interesu winiarstwa francuskiego jest decydującym w akcji mieszankowej.

Wysokość nadprodukcji wina będzie odtąd decydowała o mniejszym lub większym rozpowszechnieniu mieszanek napędowych. Dopiero na dalszym planie są motywy bilansu handlowego i obrony państwa.

Analogicznie sytuacja przedstawia się w Niemczech. Rząd niemiecki, wprowadzając rozporządzenie o przymusie mieszankowym z dnia 4 lipca 1930 r., miał jedynie na celu interes gorzelnictwa niemieckiego. Póki monopol niemiecki miał zbyt na nadmiar spirytusu w dostawach na plan Dawesa, dotąd o przymusie nie myślano. Zbyt spirytusu napędowego wynosił:

w r. 1926/7 — 16.7 milj. litr.
„ „ 1927/8 — 17,9 „ „
„ „ 1928/9 — 27,7 „ „
„ „ 1929/30— 23,5 „ „

Dopiero po ustaniu dostaw na plan Dawesa i po wprowadzeniu przymusu, gdy monopol, nie chcąc ograniczać produkcji gorzelni znalazł się w posiadaniu znacznych zapasów spirytusu, zbyt wzrósł gwałtownie do 42,5 milj. litr. w r. 1930/31 i rośnie obecnie dalej.

W wyniku tej akcji gorzelnictwo niemieckie jest zatrudnione w normalnej swej przedwojennej zdolności produkcyjnej. Wówczas, gdy gorzelnictwo polskie w r. 1929/30 było zatrudnione w wysokości: ca. 59%, w r. 1930/31 — w wysokości ca. 43%. w r. 1931/32 w wysokości ca. 28%, zaś na rok 1932/33 zatrudnienie wynosić będzie tylko 18%.

Jeżeli interesy winiarstwa we Francji i gorzelnictwa w Niemczech są brane pod najżyczliwszą uwagę przez rządy tych państw, to trudno zrozumieć, dlaczego miałyby być bagatelizowane interesy gorzelnictwa w Polsce. Nie jest przytem słuszny często wytaczany argument, że, popierając gorzelnictwo, nie popiera się rolnictwa — gdyż produkcja gorzelnicza jest tylko odłamem produkcji rolnej. Są zapewne uniwersalne środki popierania rolnictwa, jak np. ułatwienia kredytowe, podatkowe i t. p., jednak również popieraniem rolnictwa jest pomoc, udzielana poszczególnym jego działom, w postaci ceł ochronnych, premij eksportowych, ułatwiania zbytu na rynku wewnętrznym i tp. Gorzelnictwo jest tak samo częścią rolnictwa, jak przemysł naftowy częścią całego przemysłu: pomoc dla rolnictwa może być tak samo różnorodną i zróżniczkowaną dla poszczególnych jego dziedzin, jak pomoc dla przemysłu.

Nikt nie może chyba zaprzeczyć, że w dziedzinie rolnictwa gorzelnictwo jest jednym z najpoważniejszych odłamów produkcji. Zresztą dowodzą tego wybitnie cyfry. Gospodarstwa gorzelnicze posiadają około 1.700.000 ha. gruntów w czem 902.000 ha gruntów ornych. W gospodarstwach tych m. w. 36,8% kartofli idzie na przerób spirytusu. Jasnem jest wobec tego, że od wysokości produkcji w bardzo wysokim stopniu zależy kultura tych przeszło 900.000 ha., czyli m. w. 1/4 całej przestrzeni uprawnej prywatnej większej własności rolnej.

Trudno jest znaleźć właściwą metodę do oznaczenia wagi i znaczenia danego działu produkcji w stosunku do całości produkcji, wydaje się jednak niewątpliwem, że gorzelnictwo odgrywa w stosunku do całego rolnictwa większą rolę niż przemysł naftowy w stosunku do całego przemysłu, a przecież nikt w stosunku do przemysłu naftowego nie używa argumentu, że można jego interesy bagatelizować, gdyż przemysł naftowy jest tylko małym fragmencikiem w całokształcie przemysłu polskiego.

Nikt się nie może dziwić, ani się gorszyć, że przemysł naftowy broni swych pozycyj, szłoby tylko o to, by dyskusja doprowadziła do istotnego wyjaśnienia sytuacji obydwóch stron i zmierzała do największego dobra kraju. Wydaje się, że dalszy rozwój sytuacji w przemyśle naftowym skłoni przemysł ten do zrozumienia i uznania, że akcja Rządu w kierunku wprowadzenia mieszanek na rynek płynnego paliwa jest dyktowana koniecznością gospodarczą i wypływa z motywów niezbędnego objektywizmu w stosunku do obydwóch działów produkcji krajowej — przemysłu naftowego i gorzelniczego.

j. z.

PRZECIW PRĄDOWI.

Przypuszczam, że gdyby nagle, tak jak się to dzieje w bajkach, wolno było jakiemuś „solidnemu“ profesorowi ekonomji wyrazić jedno jedyne życzenie, to zapewne okazałoby się, że potrzebą, dla zaspokojenia której profesor wykorzystałby niezwykłą okazję, byłaby potrzeba dokonywania eksperymentów ekonomicznych. Doświadczenie, empiryczne sprawdzanie założeń teoretycznych, oto czego w skrytości ducha zazdroszcza ekonomiści adeptom innych gałęzi wiedzy. Wszak tylko czasami rozwój wypadków stwarza sytuacje, które choć może nie zupełnie odpowiadają warunkom prawidłowego doświadczenia naukowego, ale w każdym razie do nich się zbliżają.

W tej chwili mamy w Polsce możność obserwowania jednego z takich quasi-eksperymentów. Złośliwość losu polega na tem, że przedmiotem „doświadczenia“ jest zagadnienie „niemodne“, zagadnienie, którego ekonomiści współcześni napewno nie wybraliby ja-

ko „temat". Miejsce doświadczenia: dwa miasta położone na dwóch północnych krańcach Rzplitej, to jest Gdynia i Wilno. Samo doświadczenie polega na tem, że „pierwszy z ośrodków wyposażony jest we wszelkie warunki sprzyjające rozwojowi życia gospodarczego, drugi natomiast pozbawiony o ile możności wszelkich tego rodzaju warunków". Mówiąc poważnie musimy stwierdzić, że powyższa formuła eksperymentu nie wiele tylko odbiega od rzeczywistości. Weźmy pod uwagę te wszystkie czynniki, które współczesny ekonomista obrałby za punkt wyjścia dla oceny perspektyw rozwoju życia gospodarczego w obu miastach. A więc z jednej strony mamy miasto portowe, z zorganizowaną komunikacją morską, miasto, którego „zapleczem" jest cała Polska, miasto o stałym ruchu inwestycyjnym, opartym na stałym przypływie kapitału z zewnątrz miasto obdarzone wyjątkowymi przywilejami podatkowemi, korzystające z wyjątkowych przywilejów celnych, itd. itd. Z drugiej strony mamy miasto zbyt duże w stosunku do swej dzisiejszej roli gospodarczej, miasto odcięte od naturalnego połączenia z morzem, pozbawione swego normalnego zaplecza miasto położone w rejonie niemal wyłącznie rolniczym, a tem samem najdotkliwiej dotkniętym kryzysem, miasto, w którem ciężar podatków jest, zważywszy na nikły dochód na głowę, wyjątkowo dotkliwy, itd. itd.

Wbrew tym wszystkim warunkom Wilno nie umiera, Gdynia nie rozkwita tak, jak należałoby oczekiwać. Wileńskie garbarnie, przywożące część surowców aż z Gdyni, należą do najzdrowszych w tej dziedzinie przemysłu zakładów. Wileńskie tartaki, położone na drugim brzegu Wilji, o kilka kilometrów od kolei, zajmują miejsce przodujące w naszym eksporcie drzewnym na niektóre rynki. I td. i td. Natomiast Gdynia, żyje wprawdzie intensywnem życiem, jako port przeładunkowy, natomiast jako ośrodek handlowy nie może być narazie wogóle brana pod uwagę. Inicjatywa gospodarcza wyrastająca z gruntu, z terenu gdyńskiego jest rzadkością. Życie Gdyni jest echem myśli i energji stolicy. Czyżby zatem „przy ustalaniu warunków doświadczalnych" pominięto jakiś zasadniczy, doniosły element? Jeśli chodzi o elementy o charakterze wymiernym i objektywnym, to chyba nie. Natomiast na korzyść Wilna działają „imponderabilja" życia gospodarczego — tradycja, czynnik ludzki. Bolesny „eksperyment" podcięcia objektywnych warunków życia gospodarczego Wilna i Wileńszczyzny, można o tyle uważać za „udany", że na jego tle plastycznie maluje się doniosłe znaczenie wyniku ludzkiego czynika, wyposażonego w wolę, energję i tradycję gospodarczą.

C. B

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

BILANS WIELKIEJ REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

Do bilansu rewolucji rosyjskiej wstawić należy przedewszystkiem nast. pozycje: majątek i dochód społeczny, kapitał wytwórczy oraz rozmiary spożycia.

W niniejszym tytule wprowadzamy zdaje się poraz pierwszy w zastosowaniu do rewolucji rosyjskiej przydomek „wielka". Uważamy ten przydomek za właściwy i słuszny nie mniej niż w odniesieniu do rewolucji francuskiej, zarówno ze względu na charakter dokonanego przewrotu, na zadania, jakie druga rosyjska rewolucja sobie postawiła, na olbrzymie napięcie woli, jakie wzbudziła, na potężne indywidualności, które w niej działały i działają na to wreszcie, że ma miejsce w wielkiem państwie i że dokonał ją wielki naród, wielki zarówno pod względem swej liczebności jak i wartości umysłowych i kulturalnych, jakie bezsprzecznie posiada. Jeśli chodzi jednak o zasiąg wpływów i reperkusji wielkiej rewolucji rosyjskiej w świecie, to wydają się one być mniejsze niż rewolucji francuskiej. Jest bowiem między temi rewolucjami jedna zasadnicza różnica: francuska była *przyczyną* wielkich wojen i doniosłych zmian w Europie, natomiast rewolucja rosyjska jest ich *skutkiem*. A może zawcześnie o tem mówić? Przecież od początku rewolucji rosyjskiej upłynęło dopiero 15 lat, a więc równo tyle co od roku 1789 do koronacji Napoleona? Jednak mimo tej objekcji, nic na ziemi ani na niebie nie zapowiada by czerwona armja miała wyruszyć w pole, niosąc na bagnetach swoje hasła. Tak się złożyło, że rewolucja rosyjska mimo swej programowej międzynarodowości, jest w gruncie rzeczy mniej międzynarodową i mniej ekspansywną od rewolucji francuskiej. Zresztą nic dziwnego: hasła rewolucji francuskiej były uniwersalne, a rosyjskiej są klasowo ekskluzywne, pierwsze były w większej części negatywne, w stosunku do tego co jest, drugie zawierają w sobie program pozytywny, który ułatwia krytykę, wreszcie takie ideje, jak wolność słowa, wolność prasy, wolność przekonań i wolność sumienia, czy wolność chociażby handlu z natury rzeczy posiadają o wiele większą zdolność rozpowszechniania się w umysłach i duszach niż monopol prasy, monopol prawdy, jedyny katechizm wiary socjalno - politycznej, monopol handlu i krańcowa nietolerancja w stosunku do każdego odmiennego przekonania lub poglądu. Można powiedzieć, że siła ekspansywna obu rewolucyj jest między sobą w takim stopniu, jak zdolność do „wpadania w ucho" i oddziaływania emocjonalnego Marsyljanki i Międzynarodówki. Swoją drogą jest to ciekawe, że ten chyba najmuzykalniejszy naród świata nie stworzył własnego hymnu rewolucyjnego, który by rzeczywiście odpowiadał napięciu nieokiełznanych namiętności. Wracając jednak do właściwego tematu musimy stwierdzić, że przyjęcie programu budowy socjalizmu w jednym kraju przyczyniło się do wzniesienia między Z. S. S. R. a reszta świata nieprzebytego muru. Bardziej słusznem jest obecnie mówić, że Rewolucja rosyjska odgrodziła się od świata, a nie świat od niej. Rosja dzisiejsza jest równie trudno dostępna dla cudzoziemca, jak przed Piotrem Wielkim, i to tak sa-

mo fizycznie, jak i duchowo, bo odcinając się od kontaktu z myślą zachodnio - europejską rewolucja zniszczyła inteligencję wychowaną w łączności z tą myślą, i tym samym zniszczyła wspólny język, którym można się było porozumiewać. Rewolucja rosyjska wyprowadziła na arenę dziejową masy rosyjskie w całej ich samobytności i obcości psychicznej w stosunku do pierwiastków kultury zachodnio europejskiej. Jest to jeszcze jeden czynnik izolacji w porównaniu z rewolucją francuską, której przewodnikiem była wspólna narodom europejskim rzymska cywilizacja.

Jeśli mowa o bilansie, to pasuje on bardzo w zastosowaniu do rosyjskiej rewolucji, ze względu na to, że rewolucja ta postawiła sobie zadania przedewszystkiem gospodarcze. Socjalizm to przecież naukowa organizacja pracy w skali conajmniej państwowej plus sprawiedliwy i celowy podział dochodu. Socjalizm, to przecież wydajniejszy ustrój, który ma lepiej wykorzystać zdobycze nowoczesnej techniki bliżej podejść do idealnego wykonania naczelnej zasady gospodarczej „minimum wysiłku i maksimum rezultatu", wyzwolić człowieka z pod bezdennej władzy kapitału, uczynić go panem rzeczy, wyzwalając z dzisiejszej niewoli, tak, żeby jeden człowiek przestał być dla drugiego środkiem w działalności gospodarczej, osiągnąć wreszcie, żeby wytwarzanie było organizowane istotnie pod kątem zaspakajania społecznych potrzeb, a nie gromadzenia zysków dla jednostek. Droga do tego celu jest wymierna. Można tu istotnie zrobić bilans i obliczyć pasywa i aktywa, biorąc pod uwagę następujące pozycje: majątek społeczny jako całość, kapitał wytwórczy, dochód społeczny i rozmiary konsumcji. Wszystkie te pozycje powinny wzrosnąć. Nie będziemy ich obliczali cyfrowo, ponieważ permanentna inflacja w ZSSR uniemożliwia pieniężną ocenę, pretendującą na jaką taką ścisłość, ale ogólna analiza sowieckiej rzeczywistości wystarczy, żeby dać na postawioną tutaj kwestję odpowiedź.

Po stronie aktywów możemy śmiało zapisać uprzemysłowienie Z. S. S. R. Nowe fabryki, elektrownie kopalnie i linje kolejowe są przekonywującemi faktami. Natomiast wiadomo, że budowa nowych objektów gospodarczych tak absorbowała siły wytwórcze Z. S. S. R., że na renowację starych nie wystarczało czasu, ludzi i materjałów, naskutek czego dawniejsze objekty niszczały. Jaki proces odbywał się szybciej — twórczy czy niszczycielski? Na to pytanie nie da nikt zadawalającej odpowiedzi ponieważ rachunkowość sowiecka jest zbyt źle zorganizowana a ponadto zmiana wartości pieniądza utrudnia obrachunek. W niektórych dziedzinach niszczenie szło prędzej, w innych przeważały procesy twórcze. W sumie można wyrazić dość uzasadnione przekonanie, że w przemyśle przeważyły procesy twórcze i majątek przemysłu wzrósł. Gorzej jest w transporcie: długość sieci eksploatowanej od szeregu lat nie wzrasta, pomimo budowy nowych linij tory są zniszczone, tabor w znacznym stopniu również zdemolowany, wskaźniki pracy kolei, jak szybkość przebiegów i ilość załadowanych wagonów nie wzrastają, mimo wzrostu produkcji węgla, żelaza, drzewa it. d. Na tym odcinku przeważają raczej procesy niszczycielskie.

Najgorzej jest jednak w rolnictwie. Wymienić należy przedewszystkiem klęskę hodowlaną, wywołaną przez kolektywizację. Zmniejszenie się pogłowia bydła sięga 40 — 50% stanu roku 1928. Wiadomo, że hodowla stanowi podstawę dochodową drobnego rolnika, zmniejszenie się hodowli musiało zatem znacznie uszczuplić dochody rolnika. Następnie kolektywizacja pozbawiła rolnika osobistego zainteresowania w pracy, co spowodowało niedbałą uprawę, a w dalszej konsekwencji zanieczyszczenie gleby chwastami. Nie mamy żadnych danych ilustrujących stan rzeczy w tym zakresie poza ogólnikowemi biadaniami prasy sowieckiej, według której nawet ziemia na stacjach doświadczalnych jest nieprawdopodobnie zachwaszczona Brak bydła musiał ponadto spowodować gorsze nawożenie gleby. Wzrost produkcji nawozów sztucznych nie mógł tych strat wyrównać i dlatego, że nie jest jeszcze dostatecznie duży i dla tego, że nawozy są kierowane na określane, uznane za ważne odcinki — (uprawa bawełny i buraków cukrowych, gdzie nawiasem mówiąc zbiory z 1 ha są bardzo niskie). Zmniejszenie pogłowia bydła i spadek wydajności ziemi oznaczają spadek wartości majątku rolniczego. Moglibyśmy do tego dodać zużycie budynków, biorąc pod uwagę trudności w zakresie budulca, kierowanego w pierwszej kolei do przemysłu i na eksport oraz chroniczny brak tak istotnego dla potrzeb inwestycyjnych wsi artykułu jak gwoździe. Pozycją aktywną na odcinku rolnym są tylko maszyny, niszczone zresztą i łamane w barbarzyński sposób. W sumie na tym odcinku w pozycji „majątek i dobra wytwórcze" istnieje zatem niezaprzeczalny minus. Większy czy mniejszy niż plus na odcinku przemysłowym? Nie wiemy, sądzimy jednak, że nie jest mniejszy. Ocena pozycji — dochód społeczny wypadnie analogicznie z pozycją majątku. Produkcja przemysłowa wykazała znaczny wzrost w zakresie węgla, żelaza, maszyn i przemysłu chemicznego i, aczkolwiek wytwórczość przemysłu produkującego środki bezpośredniego spożycia, jak przemysł bawełniany i spożywczy w ostatnich latach cofnął się z zajętych poprzednio pozycyj, to w sumie jednak całość produkcji przemysłowej wzrosła. Należy tu jednak zrobić jedno ważne zastrzeżenie, co do jakości produkcji przemysłowej. Jakość ta jest zła, wyroby łatwo się psują, a również asortyment nie odpowiada istotnemu zróżniczkowaniu potrzeb. Ta okoliczność znacznie obniża ocenę części dochodu społecznego, wytworzonego przez przemysł.

W rolnictwie sytuacja jest jasna: obszar zasiewów przez dwa ostatnie lata zmniejsza się, wydajność ziemi zmalała, hodowla jest zniszczona. Zważywszy, że rolnictwo przed wojną stwarzało 50% dochodu społecznego Rosji, możemy stwierdzić, że spadek dochodów tej dziedziny wpłynął wysoce ujemnie na kształtowanie się wysokości całości dochodu społecznego Z. S. S. R. Zmniejszenie się wartości substancji majątkowej rolnictwa sowieckiego oraz spadek dochodowości spowodowane zostały eksploatacja rolnictwa na rzecz przemysłu. Jak brzmi odpowiedź na pytanie odnośnie dochodowości, które postawiliśmy poprzednio w stosunku do majątku i kapitałów — czy większy jest wzrost w przemyśle, czy zmniejszenie w rolnictwie? Naszem zdaniem bardziej pewnie w zakresie majątku nowe objekty przemysłowe budowane przez zachodnio - europejskich i amerykańskich techników przedstawiają objektywnie biorąc istotnie dużą wartość, ale produkcja przemysłowa jest zła jakościowo i nietrwała, jej zdolność służenia potrzebom ludzkim jest niska, ubytek

zaś dochodu w rolnictwie ogromny, w rezultacie, naszem zdaniem, suma dóbr wytwarzanych rocznie dla pośredniego i bezpośredniego spożycia, uległa w ostatnich latach zmniejszeniu.

Twierdzenie powyższe jest łatwo sprawdzić obserwując rozmiary i charakter konsumcji sowieckiej. Odżywianie się ludności jest złe Mięso i nabiał są rzadko widywane na talerzu przeciętnego obywatela produkcja zbóż zmniejsza się, odzieży i obuwia nie wystarcza, a to co jest, jest liche. Spadek konsumcji w okresie piatiletki jest szczególnie jaskrawy, jeśli będziemy brać konsumcję na głowę ludności, gdyż ludność wzrasta, podczas gdy produkcja dóbr spożywanych maleje, lub stoi na miejscu. W konsumcji dóbr wytwórczych widzimy natomiast zjawisko marnotrawienia tych dóbr: np. ogromna ilość traktorów w rolnictwie, maszyn górniczych w przemyśle węglowym, instalacyj fabrycznych w przemyśle włókienniczym stoi bez użytku, albo wskutek defektów, albo innych przyczyn natury bardziej ogólnej, uniemożliwiającej wykorzystanie.

Na przykładzie tych cmentarzysk zmarnotrawionej pracy ludzkich rąk, uwydatnia się szczególnie jaskrawo, że dyspozycja siłami wytwórczemi jest zła. Ogromna ilość tych sił zostaje skierowana na odcinki pracy zbytecznej i zużyta niezgodnie z naczelną zasadą gospodarności — minimum wysiłku, maksimum rezultatu. Ustrój sowiecki nie wykazał się dotychczas umiejętnością produkowania lepiej, pod względem zdolności wytworów pracy do zaspakajania ludzkich potrzeb, oszczędniej, pod względem zużycia ludzkiej pracy i więcej w ogólnej sumie. To co widzimy jako sukcesy piatiletki, to są tylko rezultaty przesunięć w dotychczasowym stanie posiadania poszczególnych gałęzi życia gospodarczego, a nie ogólne podniesienie poziomu wytwórczości. Widzimy góry, które w oślepiającym blasku reklamowej iluminacji rzucają tak gęsty cień na powstałe głębokie doliny, że skrywają je od naszego wzroku. Jedną z najgłębszych dolin jest sprawa wydajności pracy, która według samego Lenina miała zadecydować o wyższości ustroju sowieckiego. Ale ustrój sowiecki umiał tylko zapędzić do pracy wielkie ilości ludzi, którzy przed tem pracy wytwórczej nie wykonywali, względnie zmasować tych, którzy wykonywali ją indywidualnie, nieuchwytnie dla statystyki, nieefektownie dla oka. Uległo likwidacji rzemiosło, drobny rolnik został wyzuty z warsztatu pracy, który nie pochłaniał całej jego energji, choć dawał utrzymanie, zlikwidowano prywatny handel, zastąpiono go ciężkim, biurokratycznym aparatem rozdzielczym, który ma nie tak dużo do dzielenia. Ustrój sowiecki wykazał taką umiejętność operowania masami, jaką pozatem w dziejach ludzkości ujawnili chyba tylko faraonowie przy budowie piramid, i władcy hord tatarskich w dążeniu do podboju świata. Ale operując masami ludzi zapomniał o człowieku.

NOTATKI

KONJUNKTURALNA POLITYKA MONOPOLI.

W broszurze, wydanej staraniem Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie pt. „Polityka handlowa Polskiego Monopolu Tytoniowego", p. Zdzisław Grabski stara się przeprowadzić tezę, iż monopole państwowe (w szczególności Polski Monopol Tytoniowy) muszą prowadzić konjunkturalną politykę sprzedaży.

Podkreśliwszy w kilku miejscach, że P.M.T. nie może ograniczyć się do mechanicznego inkasowania dochodów, płynących z kieszeni konsumenta wyrobów tytoniowych, lecz musi również kierować jego gustami, pobudzać i rozwijać jego potrzeby w tym kierunku etc., autor zastanawia się nad sposobami, jakich Monopol użyć powinien celem lepszego zaspokojenia wymagań rynkowych. Kładzie on przeto silny nacisk na konieczność dotarcia Monopolu do jego klijenta zarówno poprzez odpowiednią reklamę, jak i poprzez umiejętną organizację sprzedaży w hurcie i detalu, tak przy pomocy zróżniczkowanej w zależności od pory roku, okręgu i rodzaju tytoniu prowizji dla sprzedawcy, jak przy pomocy skomercjalizowania dzisiejszego aparatu sprzedażnego (t. zn. „gdy zostaną obdzielone koncesjami jednostki odpowiednie pod względem handlowym").

W pewnem przeciwieństwie do tezy autora, że należy rozwijać konsumcję drogich papierosów, pozostaje fakt, również przez autora stwierdzony, iż konsumcja tytoni w Polsce jest niezwykle niska (poniżej 700 gramów na głowę rocznie), co nas zbliża do— Litwy, a co się niewątpliwie pogorszy w obecnym okresie depresji. Autor niedostatecznie liczy się z tem zjawiskiem, które zresztą zauważył, skoro pisze np., że „zubożenie społeczeństwa potęguje skłonność do wyrabiania papierosów sposobem domowym", a mimo to propaguje forsowanie konsumcji papierosów monopolowych. Zadanie, jakie autor stawia Monopolowi, aby podnosił klasę swych wyrobów koliduje w znacznym stopniu z faktem, że 95% obrotu papierosami w Polsce przypada na papierosy w cenie 6 groszy sztuka. Natomiast jego „hierarchja cen" (zob. str. 63) przewiduje podział gatunków papierosów na 5 klas, z których tylko dwie niższe odpowiadałyby dzisiejszemu „typowemu" spożyciu Pomimo tych przeciwieństw książka p. Grabskiego zasługuje na uwagę czytelnika i to tem więcej, że ujęciem swem wybiega ona niekiedy poza ciasny, zdawałoby się, i jednostronny temat, jakim jest polityka handlowa jednego z monopoli. Zwłaszcza ciekawy i interesujący w szerszem znaczeniu jest rozdział I części III-ej, zatytułowany: „Zagadnienie standartu", stanowiąc odskocznię do tematów, któremu należałoby poświęcić osobną książkę, jakiej brak daje się w Polsce wyraźnie odczuwać.

k. b.

JAMBES DE DIEU.

Jambes de Dieu — nogi Boga — jest to we francuskim langue d'argot nazwa fałszywego kalectwa. Nie wiem, jak powstało to określenie. Być może, że niesłusznem byłoby dopatrywać się w niem jakiegoś głębszego sensu. Jedno wydaje się niewątpliwe: nazwa ta musiała powstać w związku z okolicznością, iż fałszywe kalectwo jest zwykle jednym ze środków, przez który żebracy starają się nadać

swemu procederowi cechy dopustu Bożego. Danie jałmużny biedakowi jest zwykł— aktem humanitarnym. Danie jałmużny kalece jest w pojęciu wielu osób nietylko obowiązkiem humanitarnym, lecz przedewszystkiem pewnym obowiązkiem religijnym. Kalectwo, ten widomy znak doświadczającej człowieka Woli Bożej, czyni z żebractwa w oczach wielu — rodzaj misji. Jałmużna dla żebraka-kaleki jest dobrym uczynkiem i zasługą ofiarodawcy przed Bogiem.

Zapewne ze względu na uczucia religijne, do których apelują symulujący kalectwo żebracy, powstała ta dziwaczna nazwa we francuskim żargonie

Apelowanie do „wyższych uczuć" w celu otrzymania jałmużny przestało dzisiaj być przywilejem kasty żebraków ulicznych. Wraz z postępującem stale cofaniem się życia gospodarczego do „prymitywów" średniowiecza. wraz z odżywającemi pojęciami „słusznej ceny", „słusznych zarobków", przepisów, norm, cechów, związków i t. d. odżyła również ludowa mądrość oszukiwania się wzajemnego pod „wzniosłemi" pozorami. Hasła religijne zostały zastąpione przez hasła narodowe, ze względu na dużą siłę atrakcyjną nacjonalizmu w chwili obecnej.

Każdy, kto miał do czynienia z memorjałami przedstawicieli tak zwanego życia gospodarczego pod adresem Rządu, wie, jak imponująca siła uczuć przebija z postulatów stawianych w tych memorjałach. Przedsiębiorstwa rolnicze, przemysłowe, handlowe powstają, rozwijają się, pracują nie dla osiągnięcia zysku, lecz jedynie ku większej chwale Ojczyzny! Całe przemysły istnieją np. tylko po to, by wywozić ze stratą! Jedynym celem ich pracy jest chęć przysporzenia mało zasobnemu Skarbowi Banku Polskiego trochę cennych, obcych walut. Linje wytyczne ich działalności zamknięte są w magicznie niemal brzmiących hasłach jak — aktywny bilans handlowy, stałość waluty, zmniejszenie bezrobocia i t. d. Ani cienia egoizmu, ani cienia chęci zysku. Jeżeli zwracają się do Rządu o pomoc, to w imię tych zbożnych celów, którym służą. Chcą pokryć tylko swoje straty, które nie wynikają z tej czy innej fałszywej dyspozycji kapitałów, z tych czy owych błędnych inwestycyj. To tylko niezależne od woli przedsiębiorcy, w jakieś tajemnicze fatum powiązane „czynniki konjunkturalne", wraz z „czynnikami strukturalnemi" decydują o niepowodzeniu tych przedsięwzięć.

Jeżeliby kiedyś jakiś historyk dziejów gospodarczych Polski chciał, na podstawie memorjałów sfer gospodarczych, stworzyć sobie obraz przeżywanej przez nas obecnie teraźniejszości, to musiałby dojść do przekonania, że społeczeństwo polskie w r. 1932 pozbawione było jakichkolwiekbądź znamion walki o byt. Wszelkie sprawy sporne załatwiane były jedynie pod kątem widzenia dobra ogółu, a ludzie nie znali innych celów jak właśnie służenia temu dobru. Jean-Jacques w swoich marzeniach o idealnym ustroju społecznym daleki był od stworzenia równie doskonałego wzoru współżycia.

Koniecznym warunkiem jednak. by późniejszy dziejopis mógł sobie stworzyć taki wizerunek współczesnych nam dziejów gospodarczych Polski musiałaby być całkowita nieznajomość z jego strony innych przyczynków, prócz obrazów tych „prerafaelitów" naszego życia gospodarczego, którzy odmalowują je w petycjach do urzędów.

Pozatem musiałby nie wiedzieć, co oznacza nazwa — jambes de Dieu.

No i wreszcie — musiałby być łatwowiernym.

KRYZYS EKONOMJI.

O „kryzysie" wiedzy ekonomicznej przekonał mnie definitywnie artykuł p. St. K. w jednem z poważnych zresztą wydawnictw gospodarczych, jakkolwiek poświęcony był nie temu specjalnie zagadnieniu, lecz „sprawie organizacji rynku wewnętrznego". Oto co tam między innemi czytamy:

1) Ludność nasza konsumuje o wiele więcej płodów rolnych niż na zachodzie. „Toteż gdy w budżetach rodzin robotniczych Danji, Holandji, Japonji, Niemiec, Norwegji, Szwecji koszty żywności wahają się w granicach od trzydziestu kilku do czterdziestu kilku procent, u nas one w zależności od grupy zamożności mieszczą się w granicach 44.6 — 66%..."

2) „Wskutek specjalnego charakteru naszego handlu zagranicznego płodami rolnemi stosunkowo zbyt wielki wpływ na nasze wewnętrzne ceny rolnicze mają obroty ziemiopłodami na rynkach ogólnoświatowych." „Wszak obroty Polski ziemiopłodami z zagranicą wynoszą zaledwie parę procent ogólnej produkcji rolniczej, nie mogą więc mieć zupełnie decydującego wpływu na ceny wewnętrzne..." Dalej autor ubolewa, że polskie ceny zbożowe kształtują się według giełd krajów, „osiągających ogromne obroty ziemiopłodami", że natomiast o kilkadziesiąt do paruset procent są niższe niż na giełdach takich krajów jak Niemcy, Francja, Czechosłowacja i t. d. Winę ponosi oczywiście nasz handel, który pracując „agenturowo" z bogatemi przedsiębiorstwami zagranicznemi nie potrafił ochronić naszego rynku wewnętrznego od decydującego wpływu cen światowych.

Oczywiście, jak każdy szanujący się obywatel, autor nie odmawia sobie przyjemności zarekomendowania własnego programu walki z kryzysem. Pisze na ten temat w ten sposób: „Wzory i wskazówki poczynań w kierunku przełamania kryzysu i doprowadzenia kraju do normalnego stanu gospodarczego dają nam lata 1927 i 1928, bardzo dobre dla Polski i jej ludności pod względem gospodarczym. Lata te cechują nadwyżki budżetowe wzrost rezerw finansowych, poziom cen rolniczych wyższy od poziomu cen przemysłowych..., wyższy poziom realnych wypłat zarobków (?!) robotniczych od ich płac realnych, no i przedewszystkiem zwiększenie produkcji i jej konsumcji w kraju".

W tem, co poprzednio cytowałem, autor był bezkonkurencyjny. Jeśli jednak chodzi o walkę z kryzysem, to znam lepszy środek, a mianowicie proste, staropolskie „100 lat zdrowia i dużo pieniędzy". Co do pierwszej części tego zwięzłego programu uzyskałem nawet aprobatę fachowego resortu. Mam tylko pewne nieporozumienia z Bankiem Polskim. Jeśli chodzi o przyczyny kryzysu, które autor tak wnikliwie ujął, to mam również własny sąd. Niegdyś aby gospodarować trzeba było tylko wiedzieć, jak trzeba robić. Potem przyszli ekonomiści i z gospodarki zrobili politykę. Dziś trzeba więc przedewszystkiem wiedzieć. co robić i dlaczego. Ci to ekonomiści, zrywając biblijny owoc z drzewa świadomości gospodarczej, narazili ludzkość na wygnanie z raju. Nasz autor zerwał w dodatku owoc niedojrzały. co zasługuje na szczególne potępienie.

j. w.

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka“, Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.